

Świadectwo przeszłości

W swoich budowlach Gdańsk zamknął kawał historii. Także ludzkiego ducha. Szczególnie w świątyniach. Świadczy o ciekawej, religijnej przeszłości Gdańska, to kościoły św. Ignacego Loyoli, Najświętszego Serca Pana Jezusa oraz św. Wojciecha. Wszystkie blisko Traktu św. Wojciecha.

Pierwszy - **św. Ignacego Loyoli** pochodzi z XVII w. Zbudowali go jezuita. Wkrótce powstało także kolegium dla młodzieży. Kościół „przeszedł wiele”. Spalili go Szwedzi podczas „potopu”, odbudowali jezuita, aż do rozebrania w 1747 r.

Kilka lat później odbudowano go, a jego stan zachował się właściwie do dzisiaj. Po kasacji zakonu jezuitów w 1773 roku, przejęły go władze pruskie. W XIX wieku stał się kościołem parafialnym. Po II wojnie światowej wiernie odtworzono jego

barokowe wnętrze. Warto obejrzeć ołtarz główny, dziewięć ołtarzy bocznych, ambonę, chrzcielnicę, cztery konfesjonały, a obok kościoła - drewnianą dzwonnice z XVIII w.

Druga świątynia - **Najświętszego Serca Pana Jezusa** - jest kościołem zakonnym księży salezjanów. Również ma ciekawą historię. Zbudowano ją na początku XIX wieku, w miejscu dawnej kaplicy katolickiej z XV wieku.

Kaplicę przejęli protestanci w XVI wieku. Powstał tu kościół ewangelicki. Dopiero po 1945 r., wrócił w ręce katolików.

Godne obejrzenia są na pewno drewniany strop gwiazdzisty, trzy nawy oraz organy zbudowane w stylu neogotyckim. Natomiast wystrój wnętrza jest nowoczesny, pochodzący z lat 70. i początku 80.



W swoich kościołach Gdańsk zamknął sporo historii. Na naszym zdjęciu kościół św. Wojciecha w Gdańsku - Oruni.

Fot. Katarzyna Piotrowska

REKLAMA

KARTKI GDAŃSKIE

Jeszcze sto lat temu w Katedrze Oliwskiej można było oglądać wielką osobliwość tej prastarej świątyni, a mianowicie sporych rozmiarów bochen chleba. Cóż szczególnego w chlebie powszednim, można by zapytać. Na pewno nie to, że pochodził sprzed wielu stuleci - zabrzmi moja odpowiedź, lecz że był z kamienia.

Skąd się wziął, wyjaśniał niegdyś napis, po którym także nie ma już śladu. O wiele jednak dokładniej historię tę opisał na cielejcej skórze pewien mnich swoim gęsim piórem. Z siebie tylko wiadomych powodów nie dołączył on jednak owego rękopisu do kronik zakonnych, lecz - jak należy nnieć, wsunął zwinęty rękopis w szczelinę muru, do którego przytwierdzono potem wielki drewniany krzyż. Niewątpliwie mocno już zniszczony gotycki krucyfiks trzeba było przenieść w inne miejsce i wówczas to, zupełnie przypadkowo, w szparze między cegłami natrafiono na ten dziwny dokument.

Pergaminowy zwój był uszkodzony. Nie udało się odzyskać daty ani też kilkunastu nierek tekstu zapisanego drobnymi łacińskimi literami. To jednak, co udało mi się rozszyfrować, przytaczam tak, byżdy mógł zrozumieć zanotowane przed wiekami słowa:

„(...) Przeto wiedząc, iż nadchodzi kres dni moich, pragnęć świadectwo tego, co się w dniu onym wydarzyło. Może przykład mego żywota uznają za pouczenie lub nawet przestrożę. Może szerzej otworzy oczy i serce na to, co naprawdę ważne. Wyznaję bowiem ze skruchą, iż wiele lat żyłem w niegodziwości, głębi i niedole. Prawdziwym moim panem nie był Stwórca, lecz pieniądź, z którego uczyniłem

złotego cielca. Nie umiałem dzielić się z innymi moim bogactwem. Obce było mi słowo „miłosierdzie”. Nie potrafiłem nikogo kochać miłością szczerą i bezinteresowną. Każdy zaś sposób pomnożenia majątku, choćby najmniej uczciwy, uznawałem za dobry.

najbardziej głodującym jado, przywdziałem zgrzebną szatę i udając nędzarza poszedłem do ich klasztoru, choć w mej szpiarni niczego nie brakowało. Swoim przyodziewkiem zmyliłem mnicha, ten zaś obdarował mnie łyżką stawy i gorącym jeszcze bochenkiem chleba, który ukrywszy za pazuchą ruszyłem w drogę powrotną do Gdańska.

Kiedym się już zbliżał do miasta, nie opodal opustoszałej oboziny „Jeruzalem” ujrzałem siedzącą przy gościńcu niewiastę z dzieciątkiem na ramieniu. Kogoś mi przypominała, lecz zrazu nie mogłem pojąć kogo. Gdy ją mijalem, odchyliła chustę i wyciągnęła w mą stronę rękę, błagając o wsparcie. - Dobry człowieku - rzekła. Niczego nie jadłam od wielu dni. Brak mi sił, by iść dalej na piechotę. Moje maleństwo, dla

wie przed psami, które wyległy głodne poza miasto, gotowe są rozszarpać najbardziej choćby prawego człowieka.

- Jeśliś prawym człowiekiem i powiadasz prawdę, idź z Bogiem, ale jeżeli skłamałeś, to masz serce z kamienia - usłyszałem z jej ust na pożegnanie.

Ledwie uszedł parę kroków, poczułem ciężar w dłoni. Bochen ciepłego jeszcze tak niedawno chleba stał się zimny i ciężki niczym głaz. Nie to jednak było najstarsze. Moje serce przestało nagle bić, choć przecież wciąż żyłem i krew płynęła w mych tętnicach. Głucha cisza, którą owej chwili poczułem w sobie, stała się nie do zniesienia. Pierwszą napotkaną osobę poprosiłem, by przytknęła ucho do mej piersi. Ta jednak uczyniwszy to uciekła ode mnie ze słowami

pominała mi napotkana kobieta. Ależ tak, była podobna do figury Pięknego Madonny z Dzieciątkiem, tylekroć oglądanej przeze mnie w Mariackim kościele, gdy jeszcze był chłopcem.

Niewiasty już wszakże nie zastałem. W miejscu, gdzie tak niedawno jeszcze tuliła do serca swą pociechę, rosła teraz tylko biała lilia, choć kwiaty te nigdy przecież nie kwitną o tej porze roku.

Dopiero wówczas zrozumiałem całą swą nikczemość. Wróciłem wprawdzie do domu, lecz po to tylko, by czym prędzej spieniężyć cały swój majątek, a pieniądze porozdawać biednym oraz głodującym (...). Sobie zaś, prócz lichego przyodziewku zostawiłem jedynie skamieniały bochen chleba, z którym udałem się do oliwskiego klasztoru cystersów.

Wyznałem ze skruchą czciogodnemu przeorowi wszystkie swe winy, a on przyjął mnie wkrótce w poczet zakonnej braci. Wtedy moje serce zaczęło bić na nowo, a ja po raz pierwszy w życiu doznałem prawdziwej ulgi. Skamieniały chleb - świadectwo cudu, który się dokonał w owym czasie głodowym, mnisi zawiesili w świątyni tak, by wszyscy wierni mogli go oglądać.

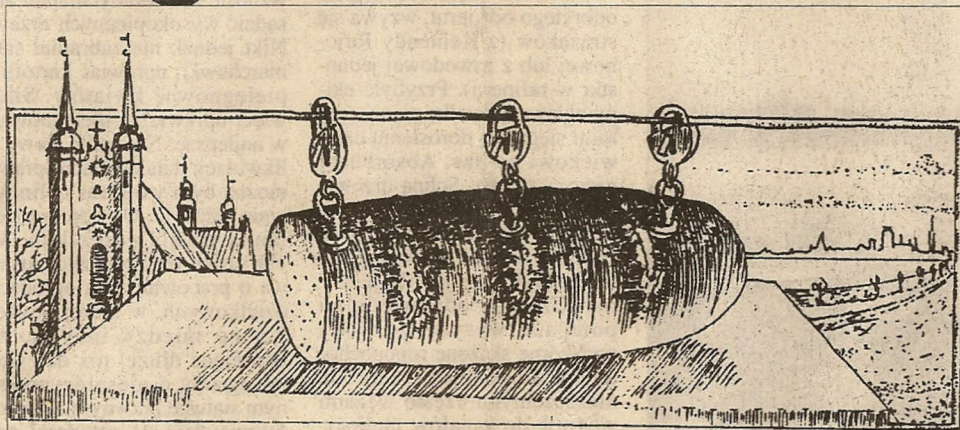
Nie kreślę się tu imieniem, bom nie godny, by je zapamiętano. Ale też nie chcę, aby kamienny bochen był jedyną pamiątką tego, com przeżył. Przeto najszczerzej wyznawszy na piśmie to, co przed dziesiątkami lat odmieniło moje życie, ja starzec odchodzę do Pana w nadziei, że kiedyś pergamin ten trafi w ręce potomnych i zostanie przez nich odczytany (...)

Stało się tak, jak tego pragnął.

Jerzy Samp

Fragment nowej książki pt. „Uczta stulecia”, która ukaże się pod koniec bieżącego roku nakładem Polnord - Wydawnictwo „Oskar”.

Legenda oliwska



Rys. W. Samp

Tak było również wówczas, gdy na Gdańsk - moje miasto, spadła klęska głodu. Wielu z tych, co wiedzieli o mej majątności, błagało mnie o wsparcie, ja jednak nie udzieliłem go nikomu, mówiąc, że sam jestem w potrzebie. A kiedy dotarła do mnie wieść, iż cystersi z oliwskiego opactwa rozdają

którego nie mam już pokarmu w piersiach umiera z głodu. Podziel się z nami chlebem, co masz pod szatą.

- Nie wiem, o czym mówisz kobieto - odpowiedziałem. Sam jestem głodny nie mniej od was. Pod swym zgrzebnym worem trzymam jedynie kamień. Noszę go z sobą w oba-

»zgiń!, przepadnij« na ustach, jakbym był żywym trupem lub upiorem. Obejrzałem wtedy wyłudzony bochen chleba. Skamieniał...

Nie umiałem iść dalej, choć widać już było miejskie bramy. Zawróciłem, by odszukać tę, którą dopiero co okłamałem. I wówczas pojąłem, kogo przy-



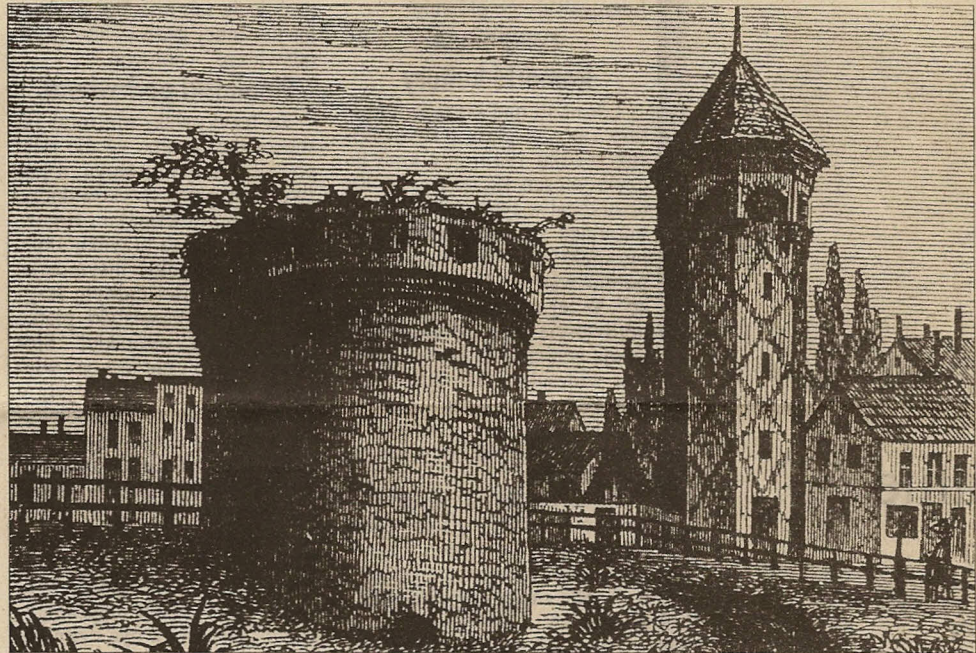
„Tu wieki średnie zdają się jeszcze panować na ulicy zakończonyj z jednej strony bramą, z drugiej poważnym portalem kościoła (...) Gdzie indziej kawał obronnych murów krzyżackich albo i przedkrzyżackich jeszcze; albo ze środka placu czy ulicy sterczy nie wiedzieć skąd i po co dziwaczna jakaś wieża i ogląda się za murem, który runął i ją samą zostawił”.

Jacek i kuchnia mnichów

Którą z gdańskich baszt miał na myśli pisząc te oto słowa w roku 1881 goszczący nad Motławą hrabia Stanisław Tarnowski? Skoro użył określenia „wieża”, mógł mieć na myśli tę, do której dopiero po ostatniej wojnie światowej przylgnęła na dobre nazwa „Jacek”. Dziś wysoka gotycka baszta faktycznie stoi w pewnym osamotnieniu. Nie przylega do niej bezpośrednio ani mur obronny, ani też budynki mieszkalne, czy jednak wyglądała ona tak właśnie wówczas, gdy po starym Gdańsku przechadzał się znakomity krakowski historyk literatury a zarazem autor ciekawych wspomnień „Z Prus Królewskich”?

Z wykonanej nieco wcześniej przez Jana Karola Schultzę ryciny, jak również z dawnych fotografii wynika coś zupełnie innego. Cały zresztą teren placu Dominikańskiego wyglądał jeszcze inaczej przed rokiem 1813, kiedy to do kościoła św. Mikołaja przylegał kompleks średniowiecznego klasztoru dominikanów. Sąsiadowały tu wówczas ze sobą aż trzy baszty. Najstarsza z nich, wzniesiona w 2 poł. XIV w., zwała się Klasztorną. Obok niej można było ujrzeć Basztę Dominikańską, nie opodal zaś podziw budziła ta najwyższa, do której z czasem przylgnąć miało imię Jacek.

Każdy z tych strategicznie ważnych niegdyś obiektów posiadał nieco inne przeznaczenie. Z każdym też związane są ciekawe opowieści i podania. Nieprzypadkowo niektórzy z autorów określają Basztę Jacek mianem wieży. Nie ma ona bowiem równej sobie w całym mieście. Wzniesiona została pod koniec XIV w. na planie prawie regularnego ośmiokąta. Obecną swą wysokość osiągnęła jednakże dopiero w roku 1410. Dominująca nad tą częścią średniowiecznych fortyfi-



Widok z placu Dominikańskiego (wg ryciny J. K. Schultzę z XIX w.)

kacji, musiała być dla Krzyżaków przysłowiową solą w oku. Z wysokości bowiem 36 metrów gdańszczanie swobodnie mogli obserwować nie tylko to, co się działo na Starym Mieście, szczególnie zaś w okolicy Wielkiego Młyna, ale także w części Zamczyska komturów. Baszta pełniła funkcję warowni i strażnicy zarazem. W razie potrzeby był to magazyn broni lub żywności, albo też więzienie. Niezłębioną pozostaje dotąd tajemnica biegących pod nią lochów i podziemnych korytarzy rozchodzących się w kilku kierunkach.

Wysoka wieża o pięknym zwieńczeniu budziła respekt, a zarazem podziw dla wyjątkowo harmonijnych proporcji. Każdy z wrogów, kto miał jako takie pojęcie o budowlach obronnych, wiedział, że w czasie walki nie wolno było zbliżyć się do „królowej gdańskich baszt”. Jej szczyt wyposażono bowiem w machi-

kuły, tj. specjalne otwory strzelnicze. Znajdowały się w dolnej części wspartego na solidnych kamiennych konsolach ganku. Odstając od ścian baszty, pozwalały one razić z góry przeciwnika, bądź to strzałami, bądź też zrzucanymi pionowo kamieniami lub wrzątkiem.

Zapewne już w średniowieczu do wspomnianej wcześniej Baszty Dominikańskiej (tej bliżej klasztoru położonej) przylgnęła żartobliwa nazwa „Kiek in de Koek”, co w lokalnym narzeczu gdańszczan znaczyło „Patrz do kuchni!”. Wścibscy strażnicy, których stanowiska

której nie sposób już było oglądać jakiegokolwiek kuchni.

Z czasem na jej wierzchołku pojawiły się kępiaste krzewy, a nawet małe drzewka, i budowla skojarzyła się gdańszczanom z zupełnie czymś innym. Zaczęto ją mianowicie nazywać „Donicą” (niem. „Blumentopf”), natomiast wdzięczną nazwę „Patrz do kuchni”, która bynajmniej nie poszła w zapomnienie, odnosić odtąd zaczęto do znacznie wyższej Baszty Jacek.

Wyrok władz miasta na Bogu ducha winną Basztę Dominikańską, alias „Donica”, padł

zlokalizowano na najwyższej kondygnacji tej okrągłej budowli, z nudów obserwować zwykli, jakie też posiłki przyrządzają zakonnicy kucharze. A że nie zawsze musiały to być dania, jakie spożywać uchodziło społeczności zakonu żebraczego, rozgłaszali to po mieście, ku utrapieniu dominikanów.

Stary klasztor, którego nieliczne opisy zawdzięczamy odwiedzającym Gdańsk w XVII i XVIII wieku podróżnikom, przetrwał oblężenie miasta przez wojska napoleońskie w 1807 roku. Legł jednak w gruzach w trakcie walk, gdy sześć lat później Francuzów wyparto z miasta. Teren zrównano a plac Dominikański na długie lata stał się miejscem musztry żołnierzy z tutejszego garnizonu pruskiego. Pamiątką minionych wieków pozostała jedynie stara gotycka baszta, z

w roku 1897, kiedy to została ona całkowicie rozebrana. Zaznaczono jednakże przynajmniej zarys budowli, odpowiednio różnicując barwę kostek, którymi wybrukowano miejsce po dawnym klasztorze i związanej z nim w tak osobliwy sposób baszcie.

W centralnym punkcie placu Dominikańskiego, na odwiecznym do zakonników należącym gruncie, wzniesiono blisko sto lat temu okazałą halę targową. Niegdyś budowla ta budziła uznanie nie tylko dzięki swym rozmiarom, lecz także stylowi i bogato zdobionym fasadom. Od lat nie konserwowana, rżączą szpetotą źle zaadaptowanych wnętrz, dzieli dziś pożalowania godny los tych zabytków, które nie mają odpowiedniego gospodarza. Ponoć ma się to zmienić już za kilka miesięcy. Oby tak właśnie było.

Jerzy Samp

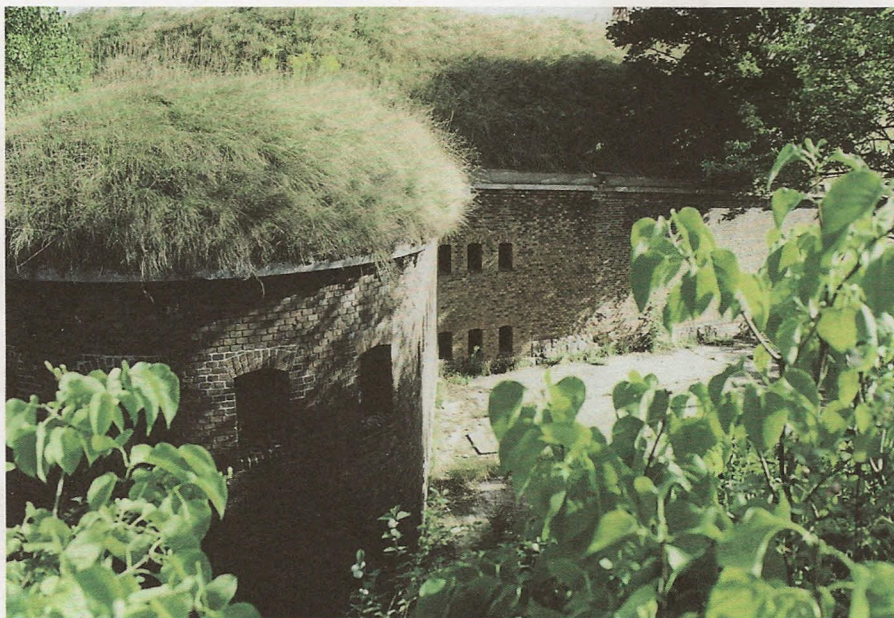
SPACERY PO NIEZNANYM GDAŃSKU

Szaniec Jezuicki

Epoka napoleońska wciąż porusza wyobraźnię i zachęca do odwiedzenia miejsc upamiętnionych walkami z początków XIX wieku. Gdańsk kryje ich wiele, czasami są one na wyciągnięcie ręki. Wybierz się z nami, by je na nowo odkryć i poczuć oddech historii.

Jest listopad 1813 roku. Wojska koalicji prusko-rosyjskiej oblegają obsadzony przez Francuzów i ich sojuszników Gdańsk. Ciężkie walki toczą się wokół Fortu Grodzisko, Biskupiej Górki i bohatersko bronionego małego fortu ziemnego na wzgórzu, zwanym Chełmem. Bateria Friaul (bo o niej tu mowa) zamykająca pierścień obrony miasta od południa, zostaje zdobyta podczas ciemnej, dżdżystej nocy z 27 na 28 listopada. Zdając sobie doskonale sprawę ze strategicznego znaczenia zdobyczy Rosjanie z wielkim poświęceniem odbudowują umocnienia. I już 29 listopada, rano, 150 luf armatnich plunęło ogniem i stała na broniący się Gdańsk. Ostrzał i pożar Wyspy Spichrzów, niszczący zapasy żywności, przesądziły o poddaniu miasta.

Śladami tamtych wydarzeń prowadzi nas dzisiaj uliczka o nazwie Kolonia Anielinki. Idący nią przechodzień, nie spodziewa się nawet, iż kończy się ona na niewielkim majdanie ukrytego w ziemi XIX wiecznego fortu artyleryjskiego. Wspomniane miejsce znajduje się w dzielnicy Stare Szkoty. Górząc nad starym Chełmem i Orunią, miał kluczowe znaczenie dla obronności Gdańska. Wzgórze Anielinki fortyfikowali już od XVII wieku Jerzy Strakowski, Jan Charpentier, później zaś w latach 1807-13 nieznanymi z nazwiska inżynierami napoleońscy.



W drugiej połowie XIX wieku dzieło to ukończyli pruscy specjaliści od umocnień. Swoją obecną formę Fort Anielinki zawdzięcza właśnie modernizacjom z lat 1843-1867. Wprawdzie podczas działań II wojny uległa zniszczeniu Redita, lecz pozostała część obiektu zachowała się w stanie pierwotnym do dnia dzisiejszego. Szaniec Jezuicki jest rzadkim przykładem fortu artyleryjskiego, budowanego wg tzw. szkoły nowopruskiej i jednym z niewielu kompletnie zachowanych obiektów pierścienia obronnego Gdańska. Po II wojnie został zamieniony na magazyny różnych gdańskich przedsiębiorstw, obecnie praktycznie opuszczony i niestety dewastowany.

Do fortu można dojść od Zaroślaka. Idąc wzdłuż ul. Brzegi skręcamy w ul. Cienistą. Potem pierwsza uliczka w lewo to Kolonia Anielinki i nią wspinamy się, dochodząc po historycznym bruku na szczyt wzniesienia. Nagrodą za wysiłek i dodatkową atrakcją Fortu jest wspaniała panorama miasta, którą można obejrzeć ze szczytu obwałowań. Nie polecamy, a wręcz odradzamy próby zwiedzania podziemi, gdyż jest to ryzykowne ze względu na fatalny stan stropów i posadzek. Można natomiast zejść do fosy, by obejrzeć dobrze zachowane kaponiery.

Krzysztof Rudziński



„Reszta dnia zeszła na oglądaniu Wielkiego Młyna w mieście, z którego dochód należał zawsze do królów polskich, i wodociągu, który nieustannym obrotem koła na rzecze Radaun (czytaj: kanale Raduni J.S.) całemu miastu wody dostarcza”.

Woda na młyn

le czasu zajęło Michałowi Wyszkowskiemu zwiędzanie największego być może ze wszystkich zachowanych młynów wodnych średnio-wiecznej Europy, nie wiemy. Jedno jest pewne, że ów warszawianin, autor „Opisu podróży do Gdańska w roku 1803 odprawionej w liście do przyjaciela” spędzić tu mógł niejedną godzinę i z pewnością czasu tego nie żałował. Gdzieżby mógł oglądać coś równie imponującego, tak pod względem rozmiarów, jak i wydajności.

To było miejsce tętniące życiem nieprzerwanie od blisko pięciu wieków. Niewielka wysępka zwana Tarczą, jaką utworzyły ramiona celowo rozgążonego kanału Raduni, stanowiła dla gdańszczan przysłówią żyłę złota. Od świtu za jeźdźcami z jednej strony zaprzężone w silne woły lub konie wozy pełne złocistego ziarna. Z drugiej zaś odjeżdżali z pękatymi workami mąki. Wokół Wielkiego Młyna krzątali się werkmistrze, kapitanowie mączni, rachmistrze, czeladź, furmani oraz rzesze zwyczajnych tragarzy.

W przylegającej do fasady młyna, a zlokalizowanej u podstaw ogromnego komina - piekarni, sprzedawano świeże pieczywo wprost z pieca. Czasem spłoszyły się konie, zawsze zaś, niezależnie od pory roku, pełno tu było wróbli i gołębi.

Wielki Młyn wzniesiony ok. 1350 roku przez Krzyżaków w bliskim sąsiedztwie fary Starego Przedmieścia (Kościoła św. Katarzyny) nie był ani najstarszym, ani też jedynym tego rodzaju zakładem w Gdańsku i najbliższych jego okolicach. Istniały młyny wodne na potokach: Siedleckim, Oliwskim, Jelitkowskim, a także na pracującej rzeczce Strzyży. Wskazują na to akty nadania, koncesje i

przywileje. Najstarsze wyszły z kancelarii księcia Sambora I w wieku XII. Dokumenty te dotyczą oliwskich cystersów i gdańskich dominikanów. Monopol na młyny przynoszące wysokie dochody (zbożowe, kaszowe, słodowe), tłocznie oleju i mielarnie kory, młyny papierowe, prochowe i tym podobne zakłady, należał do tutejszych książąt. Z czasem jednak coraz większy mieli w nich udział biskupi kujawscy, wspomniane klasztory, proboszczowie wielkich parafii, a w końcu także, nie mówiąc o Krzyżakach, mieszczenie.

„Jaka woda taki młyn” - powiada mądre kaszubskie przysłowie. Gdańszczanie dbali zatem o to, by spiętrzone wody okolicznych potoków, przede wszystkim zaś kanału Raduni, nie zagrażały przerwaniem wałów i grobli, by nie dostawały się tam nieczystości mogące uszkodzić rozmaite śluzy, wrota wodne i koła napędowe.

Będący dziełem Krzyżaków kanał zwany Nową Radunią biegł u podnóża wzgórz, z Pruszcza poprzez Święty Wojciech, Lipce, Orunię, Stare Szkoty, Peterszawę do Gdańska, nie tylko przecież po to, by zasilać Wielki Młyn, lecz i po to, by dostarczać miastu wodę pitną, wykorzystywaną też przez długie wieki do produkcji słynnego piwa jopejskiego. Aby utrzymać koryto kanału, jego brzegi i wał w należytym stanie, władze miasta zobowiązały mieszkańców trzynastu okolicznych osad do prac szarwarkowych polegających na corocznym oczyszczaniu dna z nadmiaru mułu i wszelkich nieczystości.

W samym Gdańsku, oprócz Wielkiego Młyna funkcjonowało również kilka mniejszych. Jeden z nich służący do przemiału pszenicy istniał w wieku XVII w pobliżu Kościoła św. Elżbie-

ty. Nie opodal Targu Drzewnego czynna była kaszarnia, oczywiście o napędzie wodnym. Na zachód od ul. Garmcarskiej pracowała olejarnia, na Osieku zaś pamiętający jeszcze czasy krzyżackie tartak. Były wreszcie młyny zbożowe przy Kamiennej Śluźce oraz przy Targu Rakowym.

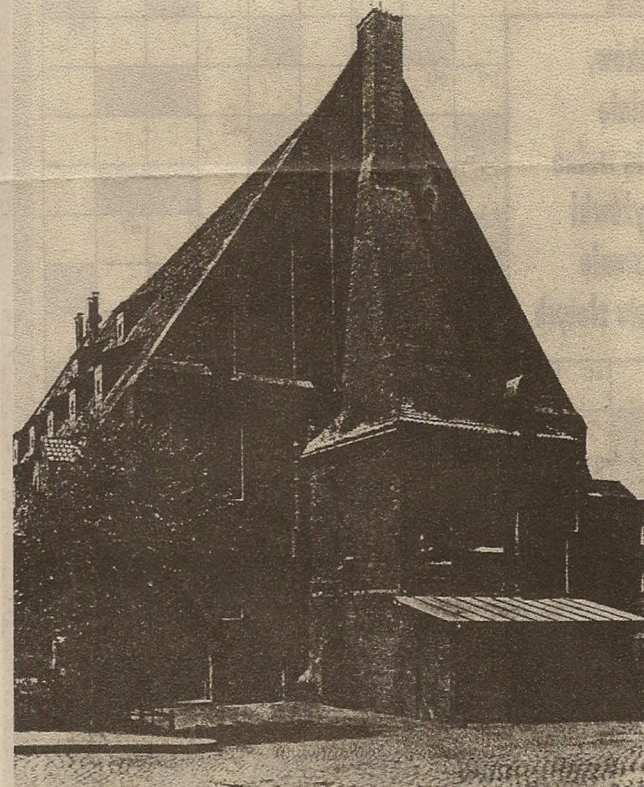
Przede wszystkim jednak uwagę przyjezdnych, takich jak Michał Wyszkowski, zwracał ten na Starym Mieście, największy a zarazem najwspanialszy ze wszystkich młyn, jakiego próżno by szukać w całej północnej Europie.

Kazimierz Jagiellończyk ofiarował go miastu w roku 1454 za udział gdańszczan w walkach z Krzyżakami podczas wojny 13-letniej. Zygmunt August zakazał dokonywania jakichkolwiek zmian na całej długości życiodajnego dla miasta kanału Raduni. Na wszelki wypadek gdańszczanie nie rozstawali się wszakże z archaicznymi żarnami. Te, jak również młyny

Jerzego Trzóske (autora znakomitej monografii) nazwa jednego ze statków handlowych: „Grosse Mühle von Danzig” (Wielki Młyn z Gdańska).

Osiemnaście wielkich kół o średnicy pięciu metrów, dzie więć po „stronie gdańskiej” i tyleż po „stronie kaszubskiej” obracało się dniem i nocą. Każde z młyńskich kół obsługiwało po dwa kamienie: nieruchomy zwany „leżakiem” i obracający się czyli tzw. biegun lub biegacz. Co szesnasty worek dostarczanego tutaj zboża przypadła miastu jako rodzaj daniny. Z czasem utarło się nawet przekonanie, że w każdej godzinie młyn przynosi królowi polskiemu zysk w postaci jednego złoto dukata, nie mówiąc już o tym, że sam zakład uchodził - słusznie zresztą - za prawdziwy cud techniki.

Ta najpotężniejsza ze świeckich budowli miasta funkcjonowała jako młyn (zmodernizowana w roku 1836 na wzór amerykański przez Jakuba Witta) aż



Wielki Młyn (Zdjęcie z okresu przedwojennego)

poruszane przez konie przydawały się, podczas gdy miasto oblegane było przez wroga, a ten odcinał dopływ wody do kanału.

Wielki Młyn był jednym z najbardziej znanych i podziwianych nad Motławą przedsiębiorstw. Dowodem choćby przypomniana przed laty przez

do końca II wojny światowej. Dziś mieści się w jego wnętrzu ogromny bazar. Szczęśliwie o dawnym przeznaczeniu gotyckiego królestwa mąki przypominają odkryte przez archeologów podczas prac remontowych w roku 1993 ostatnie młynarskie relikty: kamienny „leżak” i stare żarna.

Jerzy Samp